

Rozdział I

Przyjazd

Omagh, Irlandia Północna, grudzień 1956

– Ciii... – powiedziała Loretta – Słyszycie coś?

Moi bracia i ja zamilkliśmy. Z salonu na dole dochodziły jakieś głosy. Mama rozmawiała z jakimś mężczyzną, ale Loretta nie potrafiła go rozpoznać.

Zbliżało się Boże Narodzenie i Loretta opowiadała nam o kartkach świątecznych i prezentach, które będzie przygotowywać w szkole następnego dnia. Teraz zerwała się, wyskoczyła z naszego wspólnego staroświeckiego łóżka i na palcach podeszła do szczytu schodów, skąd mogła lepiej słyszeć głosy z dołu.

– Oczywiście, zabiorę was wcześniej rano, Agnes. Niech maluchy będą gotowe, do Belfastu będą miały długą drogę – powiedział mężczyzna.

Loretta wskoczyła z powrotem do pokoju i wślizgnęła się do łóżka obok mnie.

– Jutro jedziemy do Belfastu! – powiedziała podekscytowana.

Żadne z nas nie wyjeżdżało dotąd z naszego miasteczka Omagh, leżącego kilkadziesiąt kilometrów od Belfastu, była to więc prawdziwa nowina.

– Wiedziałem, że na pewno dokądś jedziecie, bo ja i Michael mamy pojechać do ciotki Mary na cały dzień – wyszeptał Sean.

Sean dzielił z Michaeliem drugie ze stojących w pokoju staroświeckich łóżek. Malutka Sinead spała obok nas w dzieciennym łóżeczku.

– Dlaczego nie jedziecie z nami? – spytała zdziwiona Loretta.

– Nie mam pojęcia – odparł Sean.

– Mam nadzieję, że nasza pani pozwoli mi zrobić świąteczne prezenty kiedy indziej.

Sinead nagle się rozpłakała.

– Szybko, uspokójmy się i chodźmy spać, zanim mama nas przyłapie!

Było jeszcze ciemno, gdy mama obudziła nas rankiem następnego dnia. Loretta pomogła mi się umyć i ubrać w ulubiony czerwony komplecik ze spodenkami. Lubiła się mną opiekować, bo dzięki temu czuła się dorosłej. W tym czasie mama zajmowała się Sinead, która miała osiem tygodni i była bardzo absorbująca.

Loretta poszła ze mną do kuchni na śniadanie. Michael i Sean już skończyli, odstawili talerze do zlewu i wzięli płaszcze z korytarza.

– To do zobaczenia! – krzyknął Michael i wybiegł z Seanem tylnymi drzwiami.

– Loretta! Popilnuj przez chwilę małej – powiedziała mama, kładąc Sinead na fotelu.

Słyszeliśmy, jak biega gwałtownie z pokoju do pokoju, gubiąc po drodze rzeczy. Teraz i mnie udzieliło się podniecenie mojej siostry przed podróżą, mimo że chłopcy nie jechali z nami. Jak stwierdziła Loretta, przynajmniej będziemy miały im co opowiadać po powrocie.

Na zewnątrz rozległ się klakson. Mama zbiegła na dół i pomachała przez kuchenne okno mężczyźnie stojącemu obok czarnego samochodu. Wzięła Sinead z fotela i kazała Lorecie przyprowadzić mnie na dwór.

W drodze do Belfastu panowało napięcie. Mama zazwyczaj zachowywała się bardzo głośno i dużo mówiła, a teraz prawie w ogóle

się nie odzywała. Loretta zaczęła się martwić. Nagle poczuła, że coś jest nie tak z tą podróżą. Ja byłam jeszcze za mała, by wyczuć panujące napięcie i cieszyłam się jazdą. Jechaliśmy długo, a gdy zbliżyliśmy się do Belfastu, pojawiły się pasma mgły, zmuszając kierowcę, by zwolnił. W końcu stanęliśmy.

Trudno było stwierdzić, czy dotarliśmy do celu podróży. Wyglądając przez okno, mogliśmy dostrzec jedynie wysoki ceglany mur wyłaniający się z mgły. Loretta wysiadła z samochodu, zadowolona, że może rozprostować nogi. Mama zaczęła gwałtownie szeptać z kierowcą i szybko przerwała, gdy tylko Loretta wróciła.

Mama wysiadła, mówiąc do niej:

– Popilnuj swojej młodszej siostry.

Poszła wzdłuż muru. Loretta wzięła mnie za rękę. Spoglądając w górę, zauważyła, że ze szczytu muru sterczą kawałki szkła, a nad nimi rozciągnięto drut kolczasty.

– To pewnie jest więzienie – powiedziała i ruszyłyśmy, by dogonić mamę.

Zrównałyśmy się z nią, gdy stanęła przed wielką drewnianą bramą. Lorecie nie przyszło do głowy, by zajrzeć, co znajduje się po drugiej stronie muru, czuła jednak, że coś jest nie w porządku. Ścisnęła mnie mocno za rękę, aż krzyknęłam z bólu. Mama dała Sinead do niesienia Lorecie, która musiała mnie puścić, starając się utrzymać w ramionach niemowlę.

– Teraz, Frances – powiedziała mama, patrząc na mnie – trzymaj się Loretty. Niedługo po was wrócę. Loretta, daj to komuś, kto otworzy po dzwonku – i wręczyła siostrze list, pociągając za sznur wiszący przy bramie.

Rzuciła się pędem do czekającego z włączonym silnikiem samochodu, który natychmiast odjechał.

Obserwowałyśmy w przerażeniu, jak auto zniknęło w oddali, pozostawiając smugę spalin zmieszaną z mgłą. Zaczęłam płakać, krzyzczeć i wołać, by mama wróciła. Zszokowana Loretta stała milcząc

obok mnie i przytulała do siebie Sinead. Nie była w stanie płakać. Bardzo tego chciała, ale łzy nie napływały. Zamiast tego popadła w zimne paraliżujące odrętwienie. Tylne światła samochodu zamrugały, zanim całkiem znikły we mgle.

Brama w murze otworzyła się z nieprzyjemnym zgrzytem i jakaś kobieta powiedziała:

– Nazywam się siostra Łucja. Czy mogę służyć?

Oderwałyśmy wzrok od drogi. Przy bramie stała zakonnica. Jej ubranie targał wiatr. Spod habitu i welonu widać było jedynie okrągłą irlandzką twarz z zaróżowionymi od chłodu policzkami. Loretta w milczeniu wręczyła jej list naszej mamy.

– Zabiorę was teraz do matki przełożonej. Chodźcie za mną – powiedziała zakonnica.

Zamknęła bramę i poprowadziła nas przez pusty ogród otoczony murem. Szła szybko przed nami, z ramionami ukrytymi pod habitem. Naprzeciw nas wyrósł olbrzymi budynek z czerwonej cegły. Podeszłyśmy do drzwi z zakratowanymi szybami, które prowadziły do wysokiego hallu. Siostra Łucja kazała Lorecie dać jej Sinead. Loretta rozpaczliwie chciała nadal nieść siostrzyczkę, ale, czując swoją bezsilność, zrobiła, co jej kazano.

Gdy szłyśmy przez cichy hall, pełen kwiatów, pojawiły się przed nami wysokie marmurowe posągi świętego Antoniego i Matki Boskiej. Hall szybko przeszedł w mroczny ponury korytarz, który zdawał się ciągnąć kilometrami. Powietrze było ciężkie od zapachu przypalonego jedzenia. Ciemne zielonobrazowe ściany miały niezdrowy wygląd. W pobliżu nie było nikogo. Panowała śmiertelna cisza. Gdy szłyśmy po zimnej kamiennej posadzce obok zamkniętych drewnianych drzwi z wielkimi metalowymi klamkami, Loretta wciąż nie była pewna, czy nie znalazłyśmy się w więzieniu. Co znajdowało się za drzwiami? Gdzie byli wszyscy?

W końcu siostra Łucja zatrzymała się przed wielkimi drzwiami i głośno zastukała.

– Wejść – dobiegło z drugiej strony polecenie wypowiedziane takim tonem, że każdego przeszłyby ciarki, nie mówiąc o dziecku.

Loretta zadrżała. Weszliśmy. Siostra Łucja zamknęła za nami drzwi.

Znalazłyśmy się w pokoju przypominającym niewielką bibliotekę. Na półkach stały tomy w twardych skórzanych oprawach, a na stołach leżały starannie ułożone niewielkie stosy książek. Wzdłuż jednej ściany stały rzędy szafek na akta i długie rzeźbione biurko. Za nim, pochylona nad książką, siedziała jakaś najwyraźniej ważna zakonnica. Po kilku minutach podniosła głowę i obrzuciła nas chłodnym, taksującym spojrzeniem. Miała przenikliwy wzrok, jak wiemy w bajkach. Z wyrazu jej twarzy jasno wynikało, że uważa nas za – w pewien sposób – nieczyste.

Siostra Łucja położyła na biurku list od naszej mamy. Zakonnica wzięła go i zaczęła czytać. Znowu się rozpłakałam. Loretta stała obok mnie, bezradna i zmieszana. Zakonnica włożyła list do szafki na akta i odwróciła się w naszą stronę.

– Podejdźcie bliżej. Jestem przełożoną tego klasztoru – powiedziała. – Wasza matka wyraziła życzenie, byście zostały tu u nas i poświęciły życie Bogu – przerwała, obserwując nas chłodno. – Mamy wiele reguł, których musicie przestrzegać i radzę, byście szybko się ich nauczyły. Każdy, kto łamie zasady, będzie potraktowany surowo. Najpierw, zanim dołączycie do innych dziewcząt, musicie się wykąpać. Idźcie teraz z siostrą Łucją. Potem jeszcze się z wami spotkam. I od teraz macie zwracać się do mnie „matko przełożona”.

Wyszłyśmy z pokoju za siostrą Łucją. Gdy szłyśmy długim korytarzem, wyjaśniła nam, że jesteśmy w klasztorze, przy którym znajduje się przytułek dla niechcianych dzieci i naturalnych sierot, które nie mają rodziców i którymi nie ma się kto zająć. Sierociniec ten nazywa się Zakonny Dom Nazaretański, a zakonnice to Ubogie Siostry z Nazaretu. Loretta jeszcze nie zdawała sobie sprawy, jak trafne było jej pierwsze wrażenie, czym jest ten klasztor. Naprawdę

było to więzienie: więzienie dla dzieci – młodych dziewcząt i niemowląt – których jedyną zbrodnią było to, że przyszły na świat. Odłamki szkła na szczycie muru miały zatrzymać nas w środku, a nie bronić klasztoru przed dostępem kogoś z zewnątrz.

Rozdział III

Josephine

– Siostra Thomas idzie! – syknęła Bernadette.

– W jakim jest humorze? – spytałam, wiedząc, że jeśli ma zły nastrój, to mi się dostanie. W ciągu tych kilku miesięcy po przeniesieniu mnie do junierek codziennie dawała mi jasno do zrozumienia, że mnie nie cierpi. Jednak w żaden sposób nie mogłam się przygotować na to, co nastąpiło później.

– Mamy w klasztorze pogankę! – krzyczała, wchodząc do sypialni i wywijając laską. – Gdzie ona jest?

Schowałam się obok łóżka, rozpaczliwie łudząc się nadzieją, że nie chodzi o mnie.

– Reilly! – wrzasnęła, wyciągając laskę w moją stronę. – Jesteś poganką, dzieckiem Szatana! Nikt nie może się do ciebie zbliżyć!

Kolana ugięły się pode mną. Zaczęłam drżeć na całym ciele. Co to znaczy „poganka”? Co złego zrobiłam?

– Siostro, proszę... – zaczęłam.

– Milczeć! – krzyknęła, zwracając w moją stronę czerwoną z wściekłości twarz. – Masz w sobie diabła! Wybijemy go z ciebie teraz! – skoczyła ku mnie, a laska wylądowała na mojej głowie.

Następną rzeczą, jaką pamiętam, było to, że goniła mnie po korytarzu, wrzeszcząc:

– Dziecko diabła! Szatańskie nasienie!

Zapędziła mnie do pokoju w części klasztoru zamieszkaną przez siostry, gdzie zaczęła okładać mnie ze wzmożoną energią. Niedługo potem do pokoju weszły siostry Francis i Kevin i przyłączyły się do niej, krzycząc, wrzeszcząc i tłukąc mnie niemiłosiernie. Leżałam skulona na podłodze, gdy siostra Thomas wymierzyła mi policzek, a inne waliły mnie po całym ciele. W chwilę potem zemdlałam.

Ocknęłam się na podłodze. Byłam sama. W głowie huczało mi z bólu, całe ciało miałam pokryte czerwonymi pręgami, bolały mnie wszystkie kości. Za drzwiami rozległ się jakiś dźwięk. Weszła młoda zakonnica z tacą. Patrząc na mnie nerwowo, postawiła ją na niewielkim drewnianym stoliku. Podniosłam głowę i próbowałam wstać.

– Nie podchodź do mnie! – krzyknęła z trwogą. – Jesteś pogan-ką! Niedługo wrócę po tacę – i wymknęła się z pokoju.

Miałam mętlik w głowie. O co jej chodziło? Co to wszystko miało znaczyć?

Nikt mi niczego nie wyjaśnił. Dopiero później sama poskładałam to w jakąś całość. Aby przystępować do komunii, trzeba być ochrzczonym w Kościele katolickim. Jeśli nie zostałam ochrzczona, trafisz wprost do piekła. Gdy zatem zbliżała się moja Pierwsza Komunia, zakonnice zwróciły się do parafii mojej matki w Omagh po metrykę chrztu. Nieszczęśliwie dla mnie złożyło się, że chociaż świadectwa chrztu Loretty i Sinead zostały przesłane do klasztoru, to moje nie. Być może ksiądz gdzieś je zgubił lub matka naprawdę mnie nie ochrzciła – a zakonnice oczywiście uwierzyły w tę najgorszą wersję.

Przez trzy dni siedziałam zamknięta w pokoju. Była to duża, pusta poczekalnia, z jednym wypolerowanym drewnianym stołem i staromodnymi krzesłami ustawionymi wzdłuż ścian. Nocą zestawiałam dwa krzesła i spałam zwinięta na nich, drżąc z chłodu bez koca czy kołdry. Widywałam jedynie zakonnice przynoszące mi jedzenie albo siostry Thomas, Francis i Kevin, które kilkakrotnie przychodziły, by „wybić ze mnie” diabła. Zanim zostałam zabrana

do kaplicy na chrzest, zaczęłam wierzyć, że jestem chodzącym złem. Nie mogło być inaczej. Zakonnice były poślubione Bogu, więc musiały mieć rację. Urodziłam się zła i pełna grzechu, więc to, co się działo, było moją winą.

W kaplicy kazano mi stanąć na krześle i pochylić się nad chrzcielnicą. Byłam drobna jak na swój wiek i ledwie sięgałam tak daleko. Pani Montgomery, nauczycielka zatrudniona na pół etatu w klasztornej szkole, została moją matką chrzestną. Ksiądz śpiewał i żegnał się, a zakonnice modliły się wraz z nim.

Nagle na moją twarz i ubranie spłynęła woda. Ksiądz popchnął mnie do przodu, przycisnął moją głowę do chrzcielnicy i nadal polewał mnie wodą. Całe ubranie od pasa w górę miałam przemoczone. Próbowali wypędzić ze mnie diabła.

Były to raczej egzorcyzmy niż chrzest, a ja po prostu kompletnie nie rozumiałam, co się dzieje. Dwa tygodnie później przystąpiłam do Pierwszej Komunii, ubrana jak mała panna młoda, w białą suknię przypominającą zakonny habit, biały welon, białe skarpetki i tenisówki, posmarowane wybielaczem.

Siostra Thomas miała teraz jakieś wytłumaczenie dla swego postępowania, chociaż i tak go nie potrzebowała, znalazła je bowiem od pierwszej chwili, gdy się spotkałyśmy. Wszystkie dziewczęta w naszej sypialni także o tym wiedziały. Słyszały, jak mówi do mnie, że mieszka we mnie diabeł i że pójde wprost do piekła. Obserwowały, jak kazała mi wstawać z łóżka i modlić się dodatkowo, i widziały, że bije mnie w twarz, wali pięściami lub okłada laską. A to, czego nie widziały – bicia, gdy nikogo nie było w pobliżu – mogły sobie wyobrazić na podstawie sińców i skaleczeń na moich rękach i nogach. Siostra Thomas nie przejmowała się, że ktoś może zobaczyć rany, jakie mi zadawała – chyba że zbliżała się inspekcja. Wtedy była ostrożniejsza przy wymierzaniu ciosów. Czasami, gdy przechodziła obok mojego łóżka, dzwoniąc dzwonkiem

na pobudkę, patrzyła na mnie wzrokiem, który mówił: „Dzisiaj zamierzam dać ci popalić, Reilly”.

Ale tak jak ja byłam głównym obiektem jej złości, tak miała swoje ulubienice – grupę dziewcząt, które traktowała łagodniej od reszty, posuwając się nawet do tego, że dawała im owoce i inne przysmaki. Myślę, że wiedziały, iż zrobią jej przyjemność, gdy będą dla mnie niemiłe, więc dokuczały mi cały czas. Kilka innych dziewcząt zaczęło je naśladować, toteż okazało się, że mam mało koleżanek. Na szczęście nie należałam do osób, które lubią przebywać w grupie, ale oczywiście było mi trudno.

Mary wyszła z klasztoru – znalazła się w nim jedynie na krótko i teraz wróciła do rodziny. Byłam więc naprawdę szczęśliwa, że moja mała przyjaciółka Josephine została przeniesiona do juniorek. Wprowadziłam ją we wszystkie obowiązujące zasady, tak jak Loretta ich mnie nauczyła. Stała się moją najbliższą koleżanką i spędzałyśmy razem większość wolnego czasu, rozmawiając o tym, co będziemy robić po wyjściu z klasztoru. Takie marzenia ułatwiały nam przetrwanie w naszej rozpaczliwej sytuacji, więc pozwalałyśmy wyobraźni bujać w obłokach.

Oczywiście, od czasu do czasu się sprzeczałyśmy. Czasami złościłam się na Josephine, że chodzi za mną jak kurczak za kwoką, starając się zwrócić na siebie uwagę. Burczałam na nią, gdy łąpała mnie pod brodę, bym na nią spojrzała, i dokuczałam jej, że kończy każde zdanie słowami: „no, wiesz”. Jednak przez większość czasu byłyśmy nierozłączne. Żyłam jedynie myślą o godzinach rekreacji, gdy będę miała okazję porozmawiać z Josephine. Przez większą część dnia rozmowy w klasztorze były zakazane, więc możliwość pogawędzenia z przyjaciółką stanowiła prawdziwą ulgę.

Zima 1962 roku była najmroźniejsza w Irlandii od wielu lat. W przenikliwie chłodny bożonarodzeniowy ranek, gdy szliśmy do kaplicy, siostra Austin wywołała Josephine z szeregu.

– Pewna rodzina chciałaby cię adoptować – powiedziała – ale najpierw spędzisz u nich weekend, żeby się przekonali, czy im się podobasz. Chodź ze mną i przygotuj się.

Serce we mnie zamarło, gdy się o tym dowiedziałam. Oczywiście, cieszyłam się, że moja przyjaciółka opuści to straszne miejsce, ale czułam już ból utraty.

Weekend bez Josephine ciągnął się bez końca. Zazdroszcząc jej, że znalazła się poza klasztorem, zastanawiałam się, co robi i próbowałam wyobrazić sobie, jak wygląda życie za jego murami. Jednak było to w zasadzie niemożliwe, więc postanowiłam poczekać do jej powrotu w niedzielę wieczorem. Miałam nadzieję, że będzie okazja do kilku rozmów, zanim na dobre wyjedzie – o ile ci ludzie, których odwiedziła, polubią ją. Ze względów egoistycznych chciałam, by tak się nie stało, bo wtedy zostałaby w klasztorze. Czułam do siebie wstręt za takie nieżyczliwe myśli i martwiłam się, że za karę będę smażyć się w piekle.

W końcu nadeszła niedziela, ale do szóstej Josephine nie wróciła. Nikt nie wiedział, co ją zatrzymało. Przez cały wieczór coraz bardziej się niecierpliwiłam. W końcu siostra Austin została wezwana do telefonu, a gdy wróciła do sypialni, wyglądała, jakby zobaczyła ducha.

– Co się stało, siostrze? – spytała jedna z dziewcząt.

Zakonnica jednak zachowywała się tak, jakby nagle oślepla i ogłuchła. Błada jak trup, przeszła przez sypialnię i weszła do swojej celi. Zostawiła uchylone drzwi, uklękła przy łóżku i zaczęła się modlić.

Potem sprawy przybrały jeszcze dziwniejszy obrót. Dyżurujące zakonnice zostały gdzieś odwołane, wracały blade, z zaciśniętymi ustami – o ile w ogóle wracały – a my wprost nie poznawałyśmy tych sióstr, które miały dyżur w refektarzu. Nikt na nas nie krzyczał za rozmowy, gdy stałyśmy w szeregu, i nikt nie sprawdzał, czy umyłyśmy się porządnie przed pójściem spać. Najwidoczniej zdarzyło się

coś wyjątkowego, ale żadna z nas nie wiedziała, co. Zanim zgaszono światła, nabrałyśmy pewności, że było to coś złego.

Leżałam w łóżku, zastanawiając się, co to wszystko znaczy. Przede wszystkim myślałam, w jakim stopniu może to dotyczyć moich siostr i mnie. Zazwyczaj któreś z dziewcząt udawało się dowiedzieć czegoś, chociażby podsłuchując, o czym zakonnice rozmawiały na korytarzu. Ale tym razem zakonnice nic nie mówiły – ani do nas, ani do siebie nawzajem.

Przynajmniej Josephine jest bezpieczna – pomyślałam. Ludzie, którzy zabrali ją na weekend, musieli polubić ją tak bardzo, że postanowili zatrzymać ją u siebie przez cały czas trwania procesu adopcyjnego. Zazwyczaj tak się nie działo, ale nie potrafiłam znaleźć innego wytłumaczenia. Miałam nadzieję, że Josephine miło spędza czas i że spodobała się jej nowa rodzina. Było mi tylko smutno, że nie miałam okazji, by się z nią porządnie pożegnać. Zapadając w sen pomyślałam, że ma szczęście, że jest na swobodzie.

Zakonnice przez kilka dni były bardzo zajęte, a my nadal nie mogłyśmy znaleźć żadnego wyjaśnienia tej sytuacji. Josephine nie wróciła, więc zaczęłam spędzać godziny rekreacji z dziewczynką o imieniu Chrissie. Żadna z nas nie należała do grup tworzących się w porze wypoczynku, a gdy się poznałyśmy, stwierdziłyśmy, że mamy wiele wspólnego. Obie byłyśmy nieduże, lubiłyśmy irlandzkie tańce i wołałyśmy towarzystwo jednej czy dwóch bliskich koleżanek od uczestnictwa w grupie. Bardzo tęskniłam za Josephine i cały czas o niej opowiadałam. Chrissie to nie przeszkadzało: miała nadzieję, że któregoś dnia staniemy się równie bliskimi przyjaciółkami, jakimi byłyśmy z Josephine.

Za każdym razem czas rekreacji spędzałyśmy w ten sam sposób, rozmawiając cicho ze sobą i spacerując po wyznaczonym terenie. Jednak pewnego dnia ten porządek został zakłócony. Gdy przechadzałyśmy się z Chrissie, ramię w ramię, zwróciłyśmy uwagę

na dwóch policjantów, idących w kierunku głównego gmachu klasztoru. Wszystkie wychowanki patrzyły ze zdumieniem, póki nie znikli z pola widzenia w cieniu budynków. Nad terenem rekreacyjnym zapadła cisza. Żadna z nas wcześniej nigdy nie widziała policjanta w murach klasztoru.

Lubiłyśmy wszystko, co zakłócało monotonię klasztornego życia, a przybycie policjantów z pewnością było takim wydarzeniem. Wywołało we wszystkich dziewczynkach nowe, podniecające myśli. Każda z nas wymyślała rozmaite teorie na temat tego, co się wydarzyło albo co się mogło wydarzyć. Gdy nie odezwał się dzwonek, kończący porę rekreacji, poczułyśmy się jeszcze bardziej zaintrygowane.

Jak było do przewidzenia, kilka dziewcząt nie potrafiło opanować ciekawości: zbijały się w małe grupki przed głównym budynkiem klasztoru i zaglądały przez okna do środka. W tym czasie na podwórzu została jedynie wiekowa siostra Clare, która miała tak kiepski wzrok, że nie widziała, co robimy. Jednak Chrissie i ja nie ruszyłyśmy się z miejsca. Siostra Clare mogła być ślepa jak kret, ale inne zakonnice mogły pojawić się w każdej chwili.

Następnego dnia podczas porannej modlitwy siostra Thomas poprosiła, byśmy pomodliły się za Josephine, która już do nas nie wróci. Cieszyłam się ze względu na nią. Najwyraźniej wszystko w nowej rodzinie ułożyło się pomyślnie. Jednocześnie było mi naprawdę smutno, że już się nie zobaczymy. Łzy płynęły mi po policzkach, gdy przyłączyłam się do modlitwy. Tego ranka modliłam się żarliwie, prosząc Boga, by Josephine była szczęśliwa u swych nowych rodziców.

Gdy szłyśmy na mszę, w szeregach dziewcząt zaczęła krążyć powtarzana szeptem wiadomość. Któraś z nich złapała mnie za ramię i wyszeptwała:

– Josephine nie żyje. Utonęła w rzece Lagan.

– To nieprawda. Została adoptowana – odparłam, nie poruszając głową, by nie przyłapano mnie na gadaniu.

Zastanawiałam się, kto mógł szerzyć takie okropne plotki. Przez chwilę myślałam nawet, że to może być prawda, ale nie mogłam znieść przenikliwego bólu, który ogarniał mnie na samą myśl o tym, że Josephine nie żyje. Nie, to śmieszne. Josephine była bezpieczna u swej nowej rodziny. Na pewno wszystko było z nią w porządku. Złościłam się, że ktoś rozpusza takie pogłoski. Nie po raz pierwszy podobna historia krążyła po klasztorze, a żadna z nich nie okazała się prawdziwa, czemu więc ktoś miałby uwierzyć w nią tym razem? Gdy weszliśmy do kaplicy, szepty ucichły.

Ksiądz wyszedł przed ołtarz i rozpoczął słowami:

– Dzisiejsza msza ofiarowana jest za Josephine McCann. Już nie ma jej wśród nas. Mamy nadzieję, że jest u Boga w niebie. Wasze dzisiejsze modlitwy mogą jej pomóc. Z pewnością Bóg miał swoje powody, by zabrać ją w tak młodym wieku.

Ksiądz mówił coś jeszcze, widziałam, jak się poruszają jego wargi i słyszałam jakieś słowa, ale nie rozumiałam ich sensu. Nie potrafiłam przyjąć do wiadomości, że moja najlepsza przyjaciółka, jedyna prawdziwa przyjaciółka, nie żyje. Jednak jeszcze przed końcem mszy zaczęła do mnie docierać straszna prawda. Josephine umarła – nie jest szczęśliwa z nową rodziną, ale nie żyje! Czułam, jak uchodzi ze mnie życie – a potem uświadomiłam sobie, że jestem już na zewnątrz kaplicy, a któraś z zakonnic każe mi włożyć głowę między podgięte nogi, bo zemdlałam. Nie rozpoznałam jej. Pomyślałam, że musi być nowa albo należeć do tych, które nie stykają się bezpośrednio z wychowankami klasztoru. Zaczęłam trochę dochodzić do siebie. Potem, gdy ponownie uświadomiłam sobie, że Josephine umarła, zrobiło mi się niedobrze i zaczęłam drżeć. Zakonnica spytała, jak się czuję, a ja wybuchnęłam głośnym płaczem.

Josephine nie żyje! Była moją najlepszą przyjaciółką i nigdy już jej nie zobaczę!

Wpadłam w rozpacz. Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, co to znaczy umrzeć. Przychodziły mi do głowy obrazy piekła,

niewyobrażalnego gorąca i płomieni. Ale przecież Josephine była dobra i na pewno tam nie trafiła. Wobec tego próbowałam wyobrazić ją sobie w niebie, w białej szacie, jako anioła. Znacznie przyjemniej było myśleć, że trafiła do nieba i stamtąd uśmiecha się do mnie i do wszystkich innych dziewcząt.

Następne dni były okropne. Czułam się odrętwiała, jakby jakaś częśćka mnie umarła wraz z Josephine. Dopiero po jej śmierci naprawdę zrozumiałam, jak bardzo byliśmy sobie bliskie. Okazało się, że najbardziej tęskniłam za tym, co mnie niegdyś w niej irytowało. Dałabym wszystko, by znowu była tutaj. Zawsze byłam raczej milcząca, ale teraz zupełnie zamknęłam się w sobie, reagując jedynie na dźwięk jej imienia.

Do klasztoru zaczęły docierać opowieści, w jaki sposób umarła.

Podobno wyszła któregoś wieczoru i zabłądziła, a członkowie rodziny, u której mieszkała, twierdzili, że sądzili, iż poszła kupić słodycze. Gdy zdali sobie sprawę, że zaginęła, dali znać policji. Policja ruszyła na poszukiwania z psami tropiącymi i masą ochotników. W końcu po paru dniach policyjny pies znalazł ją na pustkowiu – jej chuda rączka wystawała z lodu na niewielkim zamrzniętym stawie.

Nie rozumiałam tego. To wszystko nie miało sensu. Większą część swego życia Josephine spędziła w klasztorze, miała tylko sześć lat, była bardzo nieśmiała i przyzwyczajona do dokładnego wypełniania poleceń. Byłam pewna, że nie mogła nigdzie wyjść samodzielnie, zwłaszcza po ciemku. Skąd miałyby pieniądze na słodycze? I dlaczego jej nowa rodzina tak późno zorientowała się, że jej nie ma? Gdyby się o nią troszczyli, natychmiast zauważyliby jej brak.

Jedna z krążących po klasztorze wersji głosiła, że rodzina gdzieś wyszła wieczorem i zostawiła Josephine samą w domu. Jednak nawet gdyby to była prawda, i tak nie potrafiłam wyobrazić sobie, by Josephine uciekła. Za bardzo by się bała. Rozmawiałam na ten temat z Loretą. Przyznała mi rację – to wszystko nie miało sensu.

Potem Loretta powiedziała mi, że jedna z dochodzących uczennic przeczytała w gazecie, że Josephine została znaleziona na jakichś nieużytkach nieopodal trasy M1, około dwóch i pół mili od miejsca zamieszkania. Loretta podkreśliła, że dotarcie tam musiałoby jej zająć kilka godzin. Jak to się stało, że nikt jej nie zauważył? A jeśli nie uciekła, to dlaczego utonęła w stawie?

Jeszcze przed pogrzebem nabrałam poważnych podejrzeń w stosunku do ludzi, którzy się nią zajęli, i byłam pewna, że musieli jej coś zrobić. Była zbyt bojaźliwa, by wyjść samej z domu, więc albo musiała być tak przerażona, że uznała, że musi uciekać, albo zrobili jej coś złego, a potem pozbyli się ciała. A co z zakonnicami? Jak mogły dopuścić, by coś takiego się stało? Przecież powinny były upewnić się, że ludzie, którzy zabierają Josephine, będą się nią odpowiednio opiekować. Teraz zakonnice mówiły, że może Josephine próbowała wrócić do klasztoru. Być może. Chociaż nikt zdrowy na umyśle nie chciałby wracać do takiego miejsca.

Moje ostatnie wspomnienie związane z Josephine dotyczy mszy odprawionej w jej intencji w klasztornej kaplicy. Było to przerażające doświadczenie. Gdy ktoś w klasztorze umierał, zakonnice zamawiały nabożeństwo za jego duszę. Ciało – zazwyczaj którejś ze starszych zakonnice – leżało w otwartej trumnie ustawionej przed ołtarzem. Podczas nabożeństwa każdy musiał podejść do trumny i dotknąć zwłok. Wszystkie tego nienawidziłyśmy. Teraz, zamiast ciała zakonnic, w otwartej białej drewnianej trumnie przy ołtarzu spoczywała Josephine. Sytuację pogarszała obecność rodziny, która ją wzięła do siebie. Ludzie ci siedzieli z przodu, więc musiałam przejść obok nich, jakby nic się nie stało. Zauważyłam, że ubrali się w najlepsze niedzielne płaszcze i kapelusze, ale nikt z nich nie uronił nawet łzy.

Ławki po jednej stronie kaplicy zajmowały modlące się zakonnice. Dziewczęta rzędem zbliżały się powoli do trumny, przy której stała zakonnica, pilnująca, by każda z nas dotknęła ciała zmarłej.

Zaczęłam krzyczeć z przerażenia, gdy przyszła moja kolej. Nie wyobrażałam sobie, że miałabym dotknąć zimnych zwłok mojej przyjaciółki. Ale zakonnica złapała mnie i popchnęła w kierunku trumny, mimo że się wrywałam i krzyczałam. Zmusiła mnie do dotknięcia ciała. Gdy pochyliłam się, zobaczyłam, że Josephine jest ubrana w białą sukienkę i welon, które nosiła przed paroma tygodniami podczas swej Pierwszej Komunii. Wyglądała spokojnie, jak małeńki aniołek.

Jak Bóg mógł na to pozwolić? – zadawałam sobie pytanie. Nikt nie powinien umierać w tak młodym wieku, po tak krótkim, smutnym życiu, w którym prawie nie zaznał miłości.